



Bronisław Młodziejowski

część II z IV

Sygnatura notacji: **N0862**
Data urodzenia: **28.05.1948 r.**
Data nagrania: **24.04.2014 r.**
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**
Czas nagrania: **część I: 76 min, część II: 49 min, część III: 62 min,**
Format nagrania: **video** **część IV: 74min**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bronisław Młodziejowski: Pierwsze prace trwały do sierpnia, a później pojechaliście do Miednoje, tak? – Trzy tygodnie pracowaliśmy w Charkowie, przyjechała delegacja państwowa, na której czele stał minister Wiesław Chrzanowski, ale był również z kancelarii prezydenta pan Lech Kaczyński i wielu innych oficjeli. Została przywieziona wiadomość, że Stefan Śnieżko natychmiast po uroczystościach musi wsiąść w samoloty, którymi przyleciały rodziny i oficjele, i wraca do kraju, bo zostaje odwołany ze stanowiska. Totalnie nas to załamało i ja wtedy w akcie rozpaczki wypatrzyłem księdza biskupa ordynariusza połowego Leszka Sławoja Głodzia, podszedłem do niego, bo go pierwszy raz widziałem, mogłem z nim rozmawiać, przedstawiłem się, kim jestem, co tutaj robię i powiedziałem, jak wyglądała okoliczność tej nieszczęsnej wysepki w tej jednostce i tego spirytusu wypitego w nadmiarze przez Polaków, że nie miało to nic wspólnego z brataniem się z Ruskimi. – To było przyczyną odwołania? – To było przyczyną odwołania, tak. Bo jeden z dziennikarzy napisał, że Polacy sobie dali zarzucić łańcuch sowiecki na głowę i z tych ekshumacji nic nie będzie. Ksiądz biskup, jak to ksiądz biskup, mówi: „No to mówisz, profesorze, że tak to wyglądało. A czy minister o tym wie?”. Ja mówię: „No nie wiem. Gdzie mi tam do ministra wędrować z takimi sprawami? Tutaj pogrzeb, pododdział reprezentacyjny Wojska Polskiego, orkiestra, ksiądz biskup” – „A co ty tak tutaj rozdawałeś rodzinom?”. Ja mówię: „Z Ruskimi żeśmy ustalili, że w łuskach po amunicji pochodzącej od wielkokalibrowych karabinów zrobimy urny, do których włożymy ziemię z grobów jako pamiątkę”. I ten pocisk został osadzony, i to wyglądało ładnie, bo taka była tabliczka, że „urna grobowa z ekshumacji, 1991”. I ksiądz biskup mówi: „A mógłbyś mi zorganizować coś takiego? bo mnie nikt nie dał”. Ja mówię, ależ oczywiście. Wołam tego Rosjanina, mówię: „Ile masz tego?” – „Pięć jeszcze zostało” – „Dawaj wszystko” – „No, ale ja miałem rezerwę” – „No to teraz właśnie rezerwa. Dawaj mi to w tej chwili wszystko”. Schowałem to po kieszeniach i jedno księdzu biskupowi. Ksiądz biskup tak odchylił kieszeń

i mówi: „No to dawaj to, co masz resztę w swojej kieszeni, bo przecież widzę, nie?”. No i ja mu też pięć tych łusek tych naboju wrzuciłem. I on mówi: „Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie został Śnieżko odwołany, choć nie mogę już zapobiec jego powrotowi do Warszawy”. Bo ja mu zdałem sprawozdanie ze wszystkiego, co było, i jednocześnie, że jak my zostaniemy pozbawieni kierowania przez pana Stefana, to nie dopuszczą do ekshumacji w Miednoje. Jak się to odbyło, opowiedział pan Stefan. Jak opuszczali lotnisko, to Chrzanowski tylko warknął: „Jutro o ósmej rano proszę się u mnie meldować w sekretariacie”. No ale potem, po rozstaniu, ksiądz biskup w samochód i pojechał do ministra Chrzanowskiego, przedstawił mu to wszystko, co ja przedstawiłem. Efekt był zdumiewający. Bo jak pan Stefan Śnieżko przyjechał do ministerstwa pół godziny przed czasem, usiadł w kątku w sekretariacie i mówił, że minister kazał się mu zgłosić, wszedł Chrzanowski za piętnaście ósma, „Panie Stefanie, a po co pan tak wcześnie tutaj przyjechał?” – „No, pan minister mnie wezwał”. – „No tak, ale jest za piętnaście. Proszę na kawę, na herbatkę”. I on mówi: „Ja dopiero wiem, jak wyglądała prawda”. „Wraca pan oczywiście z powrotem”. Myśmy sami jechali z Charkowa do Miednoje przez Kursk, podróż trwała dwa i pół dnia, od razu żeśmy z marszu pojechali do Miednoje i tam Marian Głosek, późniejszy szef ekipy z Katynia, znalazł fragmenty cegieł i drobiny drewna pomalowanego na zielono i powiedział: „Tu stała daczka, tu stała daczka, tu stała daczka. Zrobili to dosłownie na dwa tygodnie przed naszym przyjazdem, dopiero co pousuwali te domy, rozebrali, ale te ślady tutaj widać”. I następnego dnia rano Stefan Śnieżko przyjeżdża do nas, mamy szefa, robimy dalej ekshumację. Czyli rozpoczynamy pracę 15 sierpnia w Miednoje pod Twerem. – W 1991 roku została wyeksplorowana jedna jama, tak? – Tak. Ona była rozbudowana. To była mogiła oznaczona numerem 4, 4: A, B, C i D. – To była specyficzna... – No wyjątkowa. Ja tam Miednoje znam doskonale, nie wiem, czy ktoś lepiej ode mnie zna te warunki. Chyba nie. Tam trafiliśmy na konstrukcję wykonaną z białej cegły silikatowej, wydatowanej przez Mariana Głoska na późne lata 60. To była latryna, mówiąc inaczej, wychodek. Ten wychodek postawiono na grobie numer 4 i przez kilkanaście lat KGB-ści przyjeżdżający na odpoczynek do Miednoje, ci mieszkający w tych daczach, pięciu, korzystali z tego wychodka, oddając mocz i kał na szczątki pomordowanych policjantów. Oni wiedzieli, że tam są szczątki ludzkie, ponieważ dolna warstwa cegieł bez fundamentu oparła się bezpośrednio na zwłoki. Chyba u bardzo niewielu ludów na świecie jest zwyczaj pastwienia się nad przeciwnikiem, który został wcześniej uśmiercony. Generalnie jest tak, że się zachowuje szacunek dla zwłok, że ich się już nie obraża. W Polsce szczątki są chronione prawnie, pod odpowiedzialnością karną. Tam taka dzicz, że dosłownie człowiek nie wie jak się zachować, jak to wszystko pojąć. Ten mocz i ten kał spowodowały, że szczątki, które później, jak się okazało, powinny być w przemianie tłuszczowo-woskowej, konserwującej, one rozpuściły tkanki miękkie i tam mieliśmy głównie pochówki wilgotne z resztkami tłuszczowo-wosku, ale zeszkieletowane. Zwłoki były tak z sobą sprasowane, że jak żeśmy w dniu grobu pracowali z Erazmem Baranem, to musieliśmy używać półtora metra długości stalowego łomu o średnicy 4–5 centymetrów, żeby oddzielić łomem zwłoki od zwłok. I ja dopiero potem uzmysłowiłem sobie, jak Staszek Mikke wydał swoją książkę „Śpij mężny”, że podobno miała miejsce taka sytuacja, że siedzimy tam w tym grobie, eksplorujemy kolejne i Staszek mówi „Słuchajcie, wyjdźcie trochę na świeże powietrze, przecież tam się nie da żyć”. Ponoć miałem podnieść głowę i powiedzieć: „Jak dobry Bóg nas widzi, to chociaż pozwoli może na jeden dzień do rajy, my jeszcze, Staszku, popracujemy”. Nie przypominam sobie, żebym coś takiego powiedział. Staszek to zacytował w książce. Byłem zdumiony, jak to przeczytałem. Ale i tam zobaczyłem profesora Romana Mądro, który w jednym z mundurów w kieszeni znalazł świeczkę tej wysokości i zszedł pod koniec dnia pracy do tego dołu śmierci numer 4, postawił tę świeczkę i zapalił. Zapalił i wyszedł. Zaczął płakać bezgłośnie, łzy mu płynęły. Staraliśmy się powiedzieć Romkowi: „Romku, Rosjanie patrzą”. Ale on był mądrzejszy ode mnie, bo ja

starałem się panować nad emocjami, natomiast jak wróciłem, dostałem tak potwornego owrządzenia dwunastnicy, że wyłem i błagałem chirurgów: „Króćcie, róbćcie, co chcecie, bo ja dłużej nie wytrzymam”. To ten narastający stres, który ciągle we mnie jest. Powiem szczerze, że to nie jest tak, że człowiek wchodzi pod prysznic, zmyje się i jest czysty. W głowie pozostaje wszystko. Powiem może nie to, o czym powinno się już zapomnieć, mimo że tyle lat upłynęło, to jest, proszę pamiętać, prawie dwadzieścia trzy lata. A ja to pamiętam, jakbym oglądał film z sobą, w większości, nie wszystko, nie wszystkie detale, i myślę, że wszyscy pracujący przy tej sprawie mają obraz tej sprawy, tej pracy, tej bardzo trudnej pracy, w życzliwej pamięci. W Miednoje mieliśmy ze względu na budowę geologiczną podłoża sytuację nietypową. Mianowicie na 6 metrach głębokości znajdowała się warstwa nieprzepuszczalnych iłów i gliny, co powodowało, że woda z opadów atmosferycznych i z topniejącego śniegu wpływała do tych jam grobowych i zwłoki znajdowały się cały czas w wodzie. Doszło do przemiany tłuszczowo-woskowej. To jest taka przemiana późna, pośmiertna, która powoduje, że zachowuje się cały pokrój ciała. Więc myśmy wyciągali zwłoki w umundrowaniu, w płaszczach, w butach, zarost twarzy, wąsy, bokobrody, jeśli ktoś miał. Wszystko to było. Jędrzek Tucholski, niestety już nieżyjący, historyk, jeden z pierwszych publicystów, który umieścił w miarę najkompletniejszą listę pomordowanych, i Zdzisław Sawicki, wspomniany falerysta, nie mogli sobie dać rady z bardzo intensywnym zapachem, jakie wydzielają zwłoki, i zapytali mnie: „Słuchaj, jak ty to robisz? Bo na twojej twarzy nie widać najmniejszego grymasu odrazy. Jak ty sobie z tym dajesz radę?”. Ja mówię: „No cóż, recepta jest prosta. Przychodzi się rano na wykop, podchodzi się najbliżej, jak tylko można, bierze się kilka najgłębszych wdechów, jakie tylko można, a potem już jest wszystko jedno. Bo w zatokach szczękowych, czołowych już ten zapach jest zmagazynowany, już się go nie czuje”. Jak ja jeżdżę do warszawskiej sądówki, bo jestem konsultantem naukowym warszawskiego zakładu i robię zwłoki w przemianie tłuszczowo-woskowej, spalone, rozkawałkowane, te najtrudniejsze, przychodzą lekarze na kolejne stanowiska obok i mówią: „Coście tak nasmrodzili dzisiaj w tej sali?”. Ja mówię: „Jakie »nasmrodzili«? Ja nic nie czuję”. Pytam się kolegi: „Ty coś czujesz?” – „Nie”, pana laboranta: „Panie laborancie, a pan coś czuje, że coś śmierdzi?” – „Nie, absolutnie” – „No to co opowiadacie, że to śmierdzi?” – „To wyjdź na zewnątrz na pół godziny i wróć, to zobaczysz”. Ja mówię: „No cóż, a kto obiecywał, że będzie łatwo?”. Zawód, który wykonuję, jest dla mnie zawodem pasjonującym. To jest służba w stosunku do drugiego człowieka. No kto ma to zrobić? Patykiem na odległość? Przecież ja muszę te szczątki w każdym przypadku, i te współczesne, i te właśnie z grobów zbiorowych, każde indywidualnie zbadać na wszelką możliwą sytuację. Nikt tego inny nie zrobi, bo nie wytrzyma. My właśnie po to mamy status specjalistów i biegłych, żebyśmy wykonywali tę pracę, żeby kto inny mógł już poczytać tylko dokumenty, ewentualnie oglądać dokumentację, bo to też jest trudna sprawa na dokumentacji. Ludzie często, widząc zdjęcia jeśli są proszeni o to, żeby rozpoznali, kto to jest, mają tak wielkie emocje, że dokonują rozpoznania niewłaściwych osób. Z tym zresztą mieliśmy do czynienia w katastrofie smoleńskiej. To nie była żadna zła wola albo próba wprowadzenia w błąd. To po prostu były potworne emocje. Trudno się dziwić rodzinom najbliższym, bo filozofia naszego myślenia, nas, Polaków, katolików, jest taka: jeśli stało się nieszczęście, musimy oczywiście zwłoki pochować, złożyć je do grobu, ale musimy mieć te szczątki jakby w swoim zasięgu. Najgorszą rzeczą jest, kiedy ktoś zginie, a nie ma szczątków, nie zazna spokoju, bo nie wiadomo, gdzie są. Często ludzie pod wpływem emocji rozpoznają jako swoją blisko osobę nie tę, którą powinni byli wskazać, tylko biorą pierwszą lepszą, która jest trochę podobna. Ale to jest taki mechanizm związany z pewnymi uwarunkowaniami psychologicznymi człowieka. Tam mieliśmy do czynienia w dużej mierze, tam: mam na myśli ekshumacje z tych wielu lat, i te pierwsze, i te późniejsze, z koniecznością precyzyjnego zbierania materiałów, a także z koniecznością dawania sobie rady z własną psychiką. – To ten grób numer

4 w Miednoje, to był najtrudniejszy... – Ze względu na rozległość. Bo to były cztery jamy grobowe połączone tym wychodkiem murowanym. – W 1991 roku na tym zakończyliście prace... – Prace ekshumacyjne wykonywane w ramach śledztwa. Następne prace, to już przejęła tutaj pałeczkę Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, konkretnie świętej pamięci Andrzej Przewoźnik, który organizował ekipy ekshumacyjne, pertraktował z Rosjanami, a pamiętam, że przed wyjazdem w 1994 roku, w 1993 roku, byłem właśnie w składzie tej komisji rządowej, gdzie negocjowaliśmy uzyskanie pomocy od wielu instytucji, od których zależała dalsza nasza praca. Tutaj olbrzymie zasługi położył świętej pamięci Andrzej Zakrzewski, który fantastycznie prowadził te rozmowy, mimo że nas wywożono do ośrodków prezydenckich pod Moskwą, do takich dacz, na których stoły się uginały od kawioru i łososia. Proszę sobie wyobrazić, że w Polsce nie było wtedy takich luksusowych dóbr spożywczych, więc budziło to nasze zdumienie, skąd ci Rosjanie coś takiego mają. Ale oni mają dla swoich. – Jak pan oceniał te rozmowy? Jaki miały przebieg? To były łatwe rozmowy? – Bardzo trudne. – W którym momencie nastąpił przełom? Bo cztery lata, zdaje się, trwało ustalanie... – Że wreszcie ruszą prace. Ja myślę, że żelazna konsekwencja, spójność ze strony polskiej, także ci prokuratorzy, którzy z nami pracowali, robili swoje i mówili Rosjanom, że to przeszły czas, że to już jakby historia i z historią się trzeba rozliczyć. Trochę politycznie się też zmieniało. Co prawda powstała Rosja, która jakby odżegnała się od stalinizmu, ale jednak jest spadkobiercą. Ja nie znam detali, szczegółów rozmów tête-à-tête na najwyższym poziomie, nie wiem czy ktokolwiek komukolwiek coś obiecywał. Raczej chyba nie. Była sprawa trudna do przyjęcia przez Rosjan, że oni będą musieli ponosić ciężar finansowy utrzymania ekip polskich. Że to jednak na nich zgodnie z konwencją genewską spoczywa ten obowiązek bycia gospodarzem, ale że prace prowadzą wyłącznie Polacy. Mogą sobie swoich obserwatorów wziąć, ale oni nie będą w składzie ekip ekshumacyjnych, bo to ma na celu upamiętnienie. Jedyne, co wiem, to to, że Rosjanie bardzo zabiegali, bo wiedzieli już, że wynikiem prac ekshumacyjnych będą cmentarze na terenach eksterytorialnych, mających status placówki dyplomatycznej, i że Rosjanie będą musieli się opiekować polskimi cmentarzami. Chcieli na zasadzie wzajemności, żebyśmy my szanowali cmentarze żołnierzy radzieckich, którzy polegli tutaj w kampanii lat 40. II wojny światowej. Jedyne to, co wiem, że coś takiego miało miejsce. Ale pan Andrzej Przewoźnik wykazał tutaj bardzo praktyczną znajomość rzeczy. Mianowicie każdy z kierowników, tych trzech odcinków: Katyń, Charków, Miednoje dostał tak zwaną kasę operacyjną, po 3 tysiące dolarów. Nie wiem jak było u kolegów, ale do mnie przyjechał ambasador Ciosek dwukrotnie i w bagażniku samochodu flagowego przywiózł mi walutę rosyjską w postaci skrzynek wódki. Dwóch. Jak mnie się coś psuło na ekshumacjach, a to koparka, a to przyjeżdżał sanepid i mówił, że wszystko zamyka, bo tu nie ma bieżącej wody, no przecież raptem wodociągów mi nie zrobią, prawda, potrzebowałem mieć cysternę z wodą. No to wystarczyło wyjąć banknot dwudziestodolarowy i od razu miałem wianuszek zainteresowanych, co potrzeba. Potrzebna jest cysterna. No to rączka po pieniążki. Ja mówię najpierw cysterna, potem pieniądze. A potem się okazało, że lepiej działa pół litrówka wódki polskiej kupiona w sklepie Hawelki przez ambasadora Cioska, która została przywieziona, i butelka wódki działała cuda. Nie miałem żadnych kłopotów z Rosjanami. Ja ich zresztą w roku 1994–1995 po części żywiłem. Miałem tych żołnierzy, ale ich żywili fatalnie. Jedli kaszę ze skwarkami. A ja dzięki pomocy rodzin katyńskich mogłem zakupić i zabrać ze sobą sporo konserw, czekolady, cukru, cukierków, takich niepsujących się towarów. Rosjanie nas żywili w motelu Twer, a ja tym żołnierzom, tym chłopakom młodym, którzy ciężko pracowali, dawałem jedzenie. Po trzech dniach się dowiedziałem, że oficerowie im natychmiast zabierali a to konserwy z rybkami, a to z szynką. Jak się dowiedziałem, to powiedziałem, że zrobię taką dziką awanturę, że chcę wiedzieć, że za godzinę wszystko, co zabrali, wróci z powrotem, poza tym, co zostało zjedzone. I wykonali to polecenie. Do mnie przyjeżdżali żołnierze bezpośrednio z wojny cze-

czeńskiej. Rosjanie to nazywali „na oddych”. Przyjeżdżali dwóch, trzech, czterech, nie płacono im żołdu, byli zabie-
dzeni, podjedli sobie trochę, odpoczęli przez tydzień i wracali na wojnę do Czeczenii, i przyjeżdżali następni. Tak
że to była niezwykle specyficzna praca. Niezwykle specyficzna. – Proszę powiedzieć, jaki był stosunek... Trochę pan
wspominał już o tym, jaki był stosunek władz, on nie zawsze był przychylny, stosunek żołnierzy do Polaków i do prac,
natomiast jaki był stosunek ludności miejscowej? – Ludności miejscowej nie było w ogóle. – Nie interesowała się? –
Nie, nie. Ludność miejscowa doskonale wie, że nie należy wsadzać nosa tam, gdzie sobie tego nie życzą. Nie wiem,
czy prowadzili jakąś akcję profilaktyczną, ale tam nikt nie przychodził. Wielką klasę pokazał minister Andrzej Mil-
czanowski, który w Miednoje właśnie zarządził, że ekipa policyjna przyjedzie z Polski samochodami z zaopatrzeniem,
z kuchnią polową, z jedzeniem, z namiotami, ze stołami, z krzesłami, wszystko, restauracja pod chmurką, wystawił
obiad dla tysiąca mieszkańców okolicznych wioszek i miasteczka, którzy przybyli tłumnie i zostali poczęstowani
komfortowym jedzeniem polskim przygotowanym przez stronę polską jako podziękowanie strony polskiej za możliwość
przeprowadzenia tych czynności. Bo proszę pamiętać, że ekipa w Miednoje pracowała pod osobistym protektoratem
ministra Andrzeja Milczanowskiego. On delegował ludzi, on dał wyposażenie, odzież, ochronę, ośrodki transportu
i mnóstwo różnego wyposażenia. Ze środków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Myśmy jechali jako podlegli mu
funkcjonariusze upamiętnić pomordowanych policjantów II Rzeczypospolitej, żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza,
funkcjonariuszy służby więziennej, straży granicznej, prokuratorów i wielu innych. Było to robione rękami polskich...
gros polskich policjantów, miałem w ekipie, rękami polskich policjantów. Sprawdzali się w sposób fantastyczny. Sze-
ściu miałem studentów z Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. W ubiegłym roku jeden z nich obronił u mnie pracę
doktorską, jest komendantem rejonowym policji, chyba w Raciborzu. Pan inspektor doktor Paweł Zajęc. I wielu innych
pracowało, jako rewidenci. Pracowali przy zwłokach, poszukując ukrytych często, zaszytych w kołnierzach, w cho-
lewach butów, elementów wyposażenia. – Wspominał pan wcześniej o miejscu pod Miednoje, w którym były same
mobilieria. – Tak, Zaworski. – I jak to było? W jakiej odległości? Rozumiem, że pan ocenił, że to było w latach 60. za-
kopane? – Tak. Musiało to być tak, wywożono osadzonych na wyspie Stołbnyj na jeziorze Seliger, części z nich
pozbawiano wyposażenia, część z tego wyposażenia z nimi wraz przyjechała do Tweru, który wtedy się nazywał
Kalininem, i jak wywożono zwłoki, to wszystko to pozostało w siedzibie NKWD. Oni to przewieźli gdzieś do jakiegoś
magazynu, trzymali do tych lat 60., 1965, 1966 rok, a następnie postanowili z tych magazynów to wygarnąć, wcze-
śniej dziurawiąc te naczynia, żeby nie miały cech używalności. I wywieźli na zamknięty jeszcze wtedy poligon wojsk
pancernych i raketowych. Ponieważ było wykopane takie stanowisko dla czołgu, to powrzucałi tam, potem wystar-
czyło wejść na brzegi tego wykopu, poskakać, dookoła ziemia się osunęła, przykryła, nie ma sprawy. I dopiero tenże
Rosjanin, który prosił o dyskrecję, znalazł to, skontaktował się ze stroną polską no i... – I co się z nimi stało? To znaczy,
zostały one wydobyte, wykopane? – Wszystko zostało wydobyte, wszystko zabezpieczyłem, przyjechał ambasador
Ciosek, zabrał to do ambasady jako pocztę dyplomatyczną i jak przyjechała ekipa w osobach pana prokuratora
Śnieżki, pana Andrzeja Przewoźnika, pana Witolda Banasia, szefa Stowarzyszenia Rodzina Policyjna, już też niez-
jącego, do Tweru, udaliśmy się na spotkanie do gubernatora. Było tam kilkadziesiąt osób ze strony rosyjskiej no
i ekipa plus oficjele, którzy przyjechali z Polski. Zanim żeśmy weszli do gubernatora, powiedziałem panu prokurato-
rowi Śnieżce, co mi się udało zrobić. On tylko pyta się: „Gdzie to masz?”, a ja mówię, że już w ambasadzie, już
chyba jest w Polsce. „No to bardzo dobrze, możesz o tym mówić”. No i najpierw oficjele, oczywiście przemowy, to
tamto, owo, dziesiąte, prokurator Śnieżko mówi: „Pan Młodziejowski chciał zabrać głos”. No i ja zdałem relację
gubernatorowi, co zrobiłem, bez wiedzy Rosjan. Siedział naprzeciwko mnie dwugwiazdkowy generał z FSB z Tweru.

Myślałem, że się rzuci przez stół, zaciśnie mi ręce na szyi, dosłownie wyrwał się, i przez zaciśnięte usta tylko powiedział: „Panie gubernatorze, to ja mam prośbę, żeby pan Młodziejowski ze mną pojechał i pokazał to”. Patrzę na prokuratora Śnieżkę, on kiwnął głową, „Tak, oczywiście, mogę”. A Śnieżko mówi: „No ja wiem, gdzie wy jedziecie. Tak że oczekujemy tutaj powrotu najdalej za dwie godziny”. Pojechałem z nim. Wypytał: „Skąd ty miałeś o tym wiadomości? Musiałeś mieć informatora”. Mówię: „Nie, mieliśmy wolny dzień, chodziliśmy sobie po lesie”. „Akurat tutaj?” Mówię, „no ładne lasy, sosnowe, przyszliśmy na spacer”. „Czyli mi nie powiesz?” Ja mówię, nie mam co mówić. „Ty jesteś szpion”. Ja mówię, „A z jakiego powodu pan tak sądzi?” „No bo ty, jak byłeś pierwszym razem, to byłeś policjantem. Teraz jesteś funkcjonariuszem Urzędu Ochrony Państwa”. Ja mówię, „No i co z tego? W policji zajmowałem się szkoleniem, byłem szefem szkolenia, w Urzędzie Ochrony Państwa byłem szefem szkolenia, ja się nie zajmuję pracą operacyjną”. „Dobra, dobra”. Pokazałem, tu, tu, tu, takie i takie wnioski. „Co się stało z tymi rzeczami?” – „Zostały wywiezione, już są w Polsce”. „Nie chciałbym się dostać, będąc na twoim miejscu, w ręce takiego jak ja”. Ja mówię, tak się domyślam. Ale ja tu wykonywałem misję, którą miałem zrealizować. I ją wykonałem. Na uroczystości otwarcia cmentarza polecałem w mundurze oficera Wojska Polskiego, bo wtedy jeden z panów ministrów wpadł na cudowny pomysł, wzywając mnie do siebie i twierdząc, że całkowicie wyczerpuje przypadek człowieka, którego nie można przekabacić i który jest legalistą, że nie wpadnie mu do głowy dokonanie zamachu stanu, i w związku z powyższym postanawia wyznaczyć mnie na dowódcę Wojsk Nadwiślańskich. Ja zapytałem ministra: „Przepraszam, a za ile dni mam udzielić odpowiedzi?” Minister patrzy na zegarek i mówi: „Za 12 minut, bo mam następnego interesanta, nie w tej sprawie, ale albo teraz, albo wcale”. Ja mówię, że przecież ja zawsze przed wojskiem uciekałem. „No to teraz ma pan szansę w tym wojsku posłużyć trochę. Jaka pana decyzja?”. Ja się wyzwania nie bałem, proszę uprzejmie. On mówi: „Wie pan, może pan będzie tam rok, może półtora”. No byłem cztery lata dowódcą. Zostałem generałem brygady Wojska Polskiego i jako generał brygady Wojska Polskiego pojechałem na uroczystości wraz z panem premierem Jerzym Buzkiem. Do Tweru na odsłonięcie cmentarza w Miednoje. Był ten generał dwugwiazdkowy i mówi: „No teraz już nic nie musisz mówić. Jesteś szpiegiem”. No ale jeśli ktoś żyje w świecie takim, to we każdym przypadku widzi w drugiej osobie szpiega. Żadnym szpiegiem nigdy nie byłem, nie wykonywałem żadnej innej misji, żadnego dodatkowego zadania wynikającego z mojej służby. Moim zadaniem było kierować ekipą, badać szczątki, wykonać wszystkie prace przewidziane harmonogramem przygotowanym wcześniej przeze mnie i złożonym w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. – To był taki moment dosyć groźny... – O tak. Nie było... Ja powiem tak, jak wyjeżdżałem w 1995 roku już na pełną ekshumację, poprosiłem pana ministra o to, żeby rozważył możliwość wydania mi paszportu dyplomatycznego. On pyta: „A co się stało?”. Zreferowałem mu okoliczności. „Nie dziwię się panu, jutro proszę zadzwonić pod ten i pod ten numer”. Zadzwoniłem, powiedziano mi, że za trzy godziny mam przyjść po paszport dyplomatyczny. I ja pojechałem na paszporcie dyplomatycznym. Nie ukrywam, że się obawiałem. Groźby były realne, stąd wszyscy moi ludzie byli na paszportach zwykłych, prywatnych, ja byłem na paszporcie dyplomatycznym. Po powrocie natychmiast paszport oddałem. – Jeżeli jeszcze mamy czas, to jeszcze o Miednoje chciałem zapytać. Każde z tych trzech miejsc, które były w ekshumacji w 1995 roku, są różne, są inne? – Zupełnie inne. – Miednoje chyba jest najbardziej specyficznym miejscem? – Tak. Największa liczba zamordowanych, przypominam, że to według list 6305, że szczególne warunki geologiczne spowodowały, że zwłoki w olbrzymiej większości, wyłączając te z grobu numer 4, były w późnej przemianie tłuszczowo-woskowej, czyli całe ciała, na bardzo ograniczonym terytorialnie terenie, wygradzonym, tak jak powiedziałem, w roku 1990, na jesieni, przed przyjazdem naszym w 1991 roku. Olbrzymie zasługi w wyznaczeniu tego terenu ma generał Sarewicz, jeszcze w czasach PRL-

-u szef wywiadu z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pan generał Sarewicz został wysłany jako przedstawiciel Polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do Rosji na placówkę dyplomatyczną do kontaktów z odpowiednimi służbami, jeszcze wtedy radzieckimi. Sarewicz dostał polecenie od ministra Milczanowskiego nawiązania bliskich kontaktów z Rosjanami, z archiwistami z KGB, i on był w roku 1990 wiosną zawieszony do Miednoje i mu pokazano, gdzie jest teren, jeszcze wtedy płotu nie było. On Rosjan cisnął. Ja z Sarewiczem rozmawiałem, już jak przyjechałem na ekshumację, on mi przekazywał okoliczności, jakie były. Nawet tak sarkastycznie mówił o sobie: „Widzi pan, komunistyczny generał. Cieszę się, że pan rozumie, co było moim udziałem i co udało się załatwić. Ale oczywiście ja nie będę dbał o to, żeby te sprawy nagłaśniać, bo ja byłem w służbie, a w służbie byłem dla ojczyzny”. To była jego filozofia. Bardzo konkretny i precyzyjny facet. Co on robił, tego nie wiem. Wiem, co mi mówił i co rzeczywiście znajdowało posłuch, i Rosjanie mówili: „O, Sarewicz to klasa”. Dużo Ciosek zrobił również, który z Ruskimi potrafił się dogadywać. Ciosek dużo popijał. No i to był taki brat łata. Czego się nie dało załatwić, wchodząc do urzędu przez drzwi, to Ciosek wchodził przez okno i załatwiał. Tak że ci ludzie, także Michał Żórawski, nieżyjący już konsul generalny, ci ludzie naprawdę bardzo mocno pracowali nad tym, żeby się udało wyszarpnąć z ziemi ten kawał tragicznej polskiej historii. – Zdobyte ciężką też pracą. – Niewątpliwie tak, ale myśmy się czuli wyróżnieni. To nie była żadna katorga. Nikt nigdy z nas nie pomyślał o czymś takim w ogóle. Było to nadzwyczajne wyróżnienie, które nas zobowiązywało do pracy na najwyższych obrotach, z największym poświęceniem. Potem, jak zwykle w polskiej rzeczywistości, są takie różne typy i typki, takie hienki, które usiłują człowieka podgryzać tu i tam, i robi się po prostu przykro, bo nic takiego w ogóle nie miało miejsca, jak ta sprawa szczątków znalezionych w magazynie policyjnym, kiedy magazynier nie wydał jednej skrzyni, nie z Miednoje, tylko z Charkowa, prasa napisała, żeśmy tu przywozili szczątki pomordowanych i chowali po magazynach policyjnych, i takie różne dyrdymały. Prawdę powiedziawszy, się zastanawiałem, czy nie wytoczyć procesu, ale doszedłem do wniosku, że szkoda mojego czasu. Nie jest mi potrzebne, żeby po ośmiu czy dziesięciu latach gdzieś tam na siódmej stronie Petitem ktoś ogłosił, że sąd wydał taki i taki wyrok, który zobowiązuje do przeprosin. Jest to po prostu ohydne. No ale cóż, gdzie drwa rąbią, tam i wióry lecą. Byłem w oku cyklonu. Wykonywałem pracę, tak jak powiedziałem któremuś z dziennikarzy, który mnie wypytywał, jak się czuję, jakbym zdobywał Mount Everest. Wyżej już wejść nie można. Można sobie tylko wymyślać, zimą, latem, bo ja wiem, z jedną ręką w kieszeni, bez tlenu, jak Reinhold i wielu, wielu innych, no ale na ten Mount Everest się wejdzie najwyżej, bo już wyżej niczego nie ma. Największe zobowiązanie. Byłem do tej pracy przygotowany znakomicie, zresztą kontynuuję swoją pracę, pracuję na uczelni, a jestem biegłym sądowym i w bardzo skomplikowanych sprawach wydaję opinie, które mają swoje znaczenie przed wieloma sądami, i apelacyjnymi, i okręgowymi. – Praca rzeczywiście, tak jak pan wspomina, była dla państwa zaszczytem. Pan mówi o pełnym profesjonalizmie z pana strony. – Tak. A nie tylko moim, wszystkich dobranych. Selekcja była bardzo dokładna. – Natomiast interesuje mnie to, czy... Ja pamiętam pana z filmów, Lemskiego choćby czy Anny Pietraszek, widać w tych materiałach filmowych pana profesjonalne podejście. Opowiada pan rzeczywiście z taką trochę kamienną twarzą, bardzo rzeczowo, profesjonalnie, o tym, co pan pokazuje, o ciałach, o przedmiotach, które pan wydobywa. Ale moje pytanie o pana zespół. Czy były chwile słabości? Jak pan jako kierownik zespołu radził sobie w takich sytuacjach, w których jednak, wydaje mi się, to dosyć ludzkie i normalne, że... – Tak, były takie sytuacje właśnie w Miednoje. Depozytariuszem depozytu wartościowego był ówczesny major Straży Granicznej Henryk Łagód. Do jego zadań należało ewidencjonowanie, dokumentowanie, a wcześniej otwieranie wszystkich listów znalezionych przy zwłokach. Ponieważ to było ponad pięćdziesiąt lat w tłuszczu-wosku, pisane zazwyczaj ołówkiem kopiowym, listy, także od rodzin, bo jednorazowo rodziny

mogły przysłać osadzoną wiadomość, szybko utleniała się i trzeba było natychmiast wykonywać zdjęcia fotograficzne, a teksty były straszne, bo pisały żony: „Słuchaj, Józeczku, nasz Czarek i nasza Ania rosą, pytają się o ciebie. A kiedy ty do nas wrócisz? Już roztopy wiosenne, a ciągle ciebie nie ma. Całujemy cię wszyscy, dzieci się do ciebie tulą”. Jak mi ryknął. Nie mógł pracować, spazmy. Patrzę się pozostali na niego, podchodzę i mówię: „Heniek, ty żeś tu przyjechał nie na wakacje, żeby pokazywać swoje emocje. Jesteś starszym oficerem, majorem, zachowuj się godnie, jak majorowi przystało. Jeśli nie będziesz natychmiast realizować zadań, przykro mi, ale odsyłam cię do kraju”. Potem i Henryk mówił, że był wściekły na mnie. Ale mówi: „Wstrząsnąłeś mną i mi pomogłeś, bo ja rzeczywiście pojechałem tam jako ambasador rodzin, a nie jako prywatna osoba”. Sprawowałem się bez zarzutu. Płakać można było w motelu Twer, jak już każdy wylądował w swoim pokoju, bo ja zażądałem od Rosjan, że każdy ma mieć swój pokój, nie będziemy mieszkali po dwóch. Ludzie muszą mieć czas na odreagowanie psychiczne. Raz dwóch policjantów popiło mi, też powiedziałem, że droga krótka na lotnisko, siadamy w naszego Poloneza, dwie godziny, jesteśmy w Moskwie. Jeden archeolog, cywil, nie wytrzymał obciążenia psychicznego i zaczął wpadać w psychozę reaktywną. Ponieważ ja pracowałem wcześniej w zakładzie medycyny sądowej i psychiatrii sądowej, pewną wiedzę na ten temat miałem i natychmiast uzgodniłem, i tenże Heniek łagód wsiadł w samochód, zawiózł go do Moskwy, do samolotu i wylądował w klinice psychiatrycznej, musiał się leczyć przez parę lat z psychozy. Po prostu nie dał sobie rady z samym sobą. Zbyt plastyczna psychika. O tym się też nie pisze i o tym się też nie mówi. Ja się dowiadywałem przez parę lat, jak on się czuje, jak funkcjonuje, doszedł do siebie, ale sytuacja była dramatyczna. Jeden z pierwszych dziennikarzy, którzy nas obsługiwali w Miednoje, jak zobaczył to wszystko, zaczął pić na umór i wypadł mi z drugiego piętra po pijaku z balkoniku z tego motelu Twer. Uszkodził sobie kręgosłup, musieliśmy go do Tweru do szpitala, w gorset gipsowy wkładać. Tego też nie ma nigdzie opisanego. Ja tych ludzi nie potępiam. Ja im szczerze współczuję. Rzeczywistość okazała się być wielokrotnie straszniejsza niż nasze wyobrażenia. Ja nie ukrywam, wspominałem to wcześniej, starałem się ze wszelkich sił opanowywać emocje, stąd, tak jak pan zauważył, z kamienną twarzą. Co się działo wewnątrz, to może pan sobie tylko wyobrazić. Mam żonę, która jest antropologiem ze stopniem naukowym doktora. Ona mi mówi: „Wiesz co, ja to bym zbzikowała”. Ja mówię: „Nie, ty byś pracowała tak samo jak ja”. Tego, jak nas nauczono pracować na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, tego się nie zapomina, to jest wielka polska szkoła antropologiczna. Jestem wdzięczny swoim profesorom, nieżyjącym już profesorowi Wokrojowi, profesorowi Godyckiemu, dzisiaj profesorom Piątkowi, Strzałce, Cieślakowi. Oni nas nauczyli czegoś, co w wymiarze światowym ma wielkie uznanie. I tak byliśmy dobierani, według kompetencji, do przeprowadzenia wyjątkowej czynności. – Ale też nie do końca chyba spodziewaliście się tego, co będzie... – Nie. Na taką skalę żeśmy się tego nie spodziewali. Po powrocie ekipy z tych czynności pierwszych ekshumacji śledczych obiecywano nam, że ktoś z oficjeli zaprosi ekipę na rozmowę. Znalazł się jeden taki człowiek. Był wówczas podsekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej. On nazywał się, o ile dobrze pamiętam, jakoś Bronisław Komorowski. Oczywiście żartuję. Tak, prezydent Polski obecny. Przyjął ekipę. Pięciogodzinne spotkanie, wysłuchał w szczegółach tego, czego nie mógł mieć nigdzie indziej, w żadnej innej wiadomości. Miał czas, znalazł czas i był jedynym, który się z nami spotkał. Drugim, ale tu już w odniesieniu do ekipy policyjnej był Andrzej Milczanowski, który w swoim gabinecie wysłuchał wszystkich członków ekipy, podziękował im za wspaniałą pracę. A proszę pamiętać, że Andrzej Milczanowski także stracił ojca w represjach sowieckich. Jego ojciec był prokuratorem i został dopiero znaleziony na tak zwanej liście ukraińskiej, i najprawdopodobniej jest pochowany pod Kijowem. To Jędrzej Tucholski ustalił. – To tak, jak się spotkaliśmy w literaturze, że w zasadzie nie ma chyba takiej rodziny w Polsce. – Bardzo wiele rodzin przez różne koligacje jest naprawdę

dotkniętych zbrodnią katyńską. To nie jest tak, że: a co to 15 tysięcy ludzi? To nie byli zwykli ludzie. Ja mogę powiedzieć taką rzecz, że w okręgu policji, a właściwie w korpusie policji śląskiej, etatowo było 1800 policjantów. 1400 z nich jest w Miednoje. W sposób zorganizowany, porządkowy wycofywali się ze swojego rejonu, ze Śląska, w kierunku na Lwów. Tam ich wszystkich sadzali najpierw do obozów przejściowych, a potem wybierano KOP-owców, policjantów jako najbardziej świątliwy w sensie wykształcenia i patriotyczny element, tak mówili Rosjanie, i dali ich do najcięższego obozu. Przecież tam słynne apelówki zaistniały. Wie pan co to jest apelówka? To jest podeszew, którą sobie więźniowie robili z desek zdobytych przeróżnym sposobem. Wykraiwali je w kształcie odbicia podeszwy buta i jakimś trokami wiązali pod buty, bo ich trzymali godzinami na mrozie i na wietrze na tej wyspie Stołbnyj, gdzie znajduje się wiele budowli sakralnych, zniszczonych zresztą, jak ja je oglądałem, teraz są podobno odbudowane, i żeby nie odmarzły nogi, to stali na tych apelówkach, na izolacji drewnianej. – No tak, to był najbardziej rygorystyczny obóz. – Najbardziej rygorystyczny. Czy pan wie, jak policjanci kradli wszystko, co mogli ukraść w czasie przesłuchań w Ostaszkowie? Znajdowałem owalnego kształtu małe blaszki, takie, jak się kiedyś przybijało do mebli, do szaf, do biurka, CKU NKWD Ostaszków, numer 8802. I on to w czasie przesłuchania ukradł, mimo że siedział ten przesłuchujący przed nim, a potem ja go znalazłem zaszytego w kołnierzu jego munduru. Oni zbierali dowody rzeczowe, kto to zrobił, mimo że byli w takiej sytuacji zagrożenia. – Byli policjantami do końca. – Do końca byli Polakami przede wszystkim o mocnym kręgosłupie patriotycznym i zbierali dowody rzeczowe. Myśmy te dowody dopiero ujawnili. – Tych rzeczy, które pan odnalazł, było dosyć dużo. – Bardzo dużo. – Mimo że takie rygorystyczne podejście i... – Ja znalazłem dół, w którym było około 700 portfeli skórzanych, i proszę sobie wyobrazić, że w portmonetkach, bo niektóre portfele mają taką zapinaną na zatrzask portmonetkę, znalazłem dwie obrączki. Czyli oni wyrzucili wszystko z portfeli, wrzucili je do dołu i nie znaleźli dwóch obrączek. Tak to szybko się odbywało. – To dosyć ciekawe. Gdyby pan mógł powiedzieć o tych jamach, nie tylko grobowych, ale także o wyposażeniu, że jednak to były dwie oddzielne jamy. – Tak, całkowicie. Ja znalazłem trzy duże doły z wyposażeniem, oprócz dwudziestu pięciu jam grobowych w Miednoje. Ja przy najbliższej okazji, myślę, że jeśli pan będzie miał możliwość w przyszłym tygodniu, chętnie bym tę kwestię kontynuował, bo ona jest w szczególny sposób warta podkreślenia i przypomnienia. Ja mogę powiedzieć tylko jedno, à propos pewnego znaleziska w dole, choć on chwałę akurat nam, Polakom, nie przynosi. Proszę sobie wyobrazić, że ja w dole z wyposażeniem znajduję rolę filmu Laikowskiego, schowanego do kasety. Czyli jak to kiedyś się robiło, koniec filmu zwijano się, żeby ktoś przypadkiem nie wyciągnął. No cóż może się znajdować... Aha i znalazłem obudowę aparatu fotograficznego, obiektywu tylko nie znaleźliśmy. Ktoś robił zdjęcia w Ostaszkowie. Myśmy znaleźli film. Przywiozłem go do Polski. Po pięćdziesięciu latach stan był tego filmu tragiczny. – To był niewywołany film? – Niewywołany. Ja go dałem do laboratorium pewnej służby specjalnej w Polsce do wywołania. I jak ja sobie to przypominam, to się we mnie krew gotuje. Ten doświadczony ekspert chyba zgłupiał totalnie i potraktował ten film jak każdy inny, wyciągnął całą rolę i cała emulsja mu spłynęła do wywoływacza. A przecież w takich sytuacjach pobiera się kawałek, dwie, trzy klatki, żeby wypracować metodę, i wtedy już były znane metody wołania suchymi odczynnikami. Utraciliśmy bezpowrotnie dokument, który ktoś z narażeniem życia tak czy inaczej sporządził, udokumentował. I tego sobie nie mogę darować, chociaż to nie byłem ja i nie ja byłem ekspertem, ale czuję się za to odpowiedzialny.